(N. 10.)

DZIENNIK WILEŃSKI

ROK 1826. PAZDZIERNIK.

Dozwala się drukować. Dnia 12 pazdzier. 1826 roku.
Z polecenia JW. Wojennego Gubernatora Litewskiego.
Andrzey Bucharski Rzeczywisty Radzca Stanu i Kawaler.

W DRUKARNI A. MARCINOWSKIEGO.

SZCZĘSLIWY DZIEŃ.

(*Powieść z Kruzego* *).

Szczęśliwy dzień! prawdziwie szczęśliwy dzień dla mnie, kochana Matko! Ty na to pokiwasz głową; a ja z tém wszystkiém zawsze w dni szczęśliwe i fatalne tak wierzę, jak nieboszczyk oyciec wierzył, tém bardziey, że mam w tém własny móy sposob myślenia. Są w istocie, jak się mi zdaje, dni takie, kiedy zbieg rozmaitych pasem życia uplata lekką tkankę, pomyślną lub nieszczęsną dla nas, w miarę tego, jak zdolność nasza wystarcza na jey przeniknienie. Niekiedy jeden śmiały, bystry, rzut oka, może rozjaśnić mgłę przeszłych czasów, zdarzeń i okoliczności, pojąć ich działanie i mocno pociągnąć za przeczuciem duszy: a to nie omyli. Lecz brak odwagi, przytomności umysłu i zdrowego rozsądku, wielu osobom nie dozwala chwytać chwil tak stanowczych, i chociaż je czasem poścignie ich uwaga, niedostatek przenikliwości w gorsze położenie ich wprowadza. Jakże często słyszymy: „żebym ja to wprzód przewidział!" albo: „żebym to i to uczynił." Niktby tak nie mówił, gdyby potrafił w porę, z korzyścią dla siebie, zgłębiać okoliczności całą władzą uczuć wewnętrznych. Ale do tego potrzeba, żeby serce nie było ściśnione i dusza swobodnie czuć mogła: tak właśnie dzisia jest ze mną, kochana Matko! Z jakąż radością wyobrażam sobie twoje zadziwienie, kiedy

(*) Сынъ Отеч.

odbierzesz ważką posyłkę, i będziesz ten list czytała; jednakżem się zapomniał, że porządniey opowiadać należy. Proszę więc słuchać.

Jeden z moich przyjaciół uniwersyteckich, wyborny chłopiec, a przytém bogaty, powinien był odznaczyć się czémkolwiek dla otrzymania mieysca, któreby wprawdzie zawsze go nie minęło, jeśli nie przez słuszność, to dla jego związków między ludźmi, ale szło mu o to, żeby prędzey dopiąć swojego celu. Przed półroczem przyszedł on do mnie, i opowiadając, że zamierzał napisać rozwiązanie zagadnienia, podanego przez jedno towarzystwo uczone, pokazał mi napoczętą już pracę i prosił, abym przeyrzał jego sextern, poprawił i przerobił, jak się mi zdawać będzie. Za to obiecał, w razie otrzymania nagrody, oddać mi ją zupełnie, zostawując sobie tylko imie autora. Przy niedostatniém utrzymaniu się szkolném, każdy przychód podobny był dla mnie pożądanym, tém bardziey, kiedy razem mogłem przyjacielowi uczynić przysługę. Wziąłem się więc do roboty, pisałem i wkrótce skończyłem, a dopiero pięć dni temu, jak przyjaciel móy przybiegł do mnie z uniesieniem, oznaymując, że nagroda nam się dostała. Wtenczasto, moja Matko, trzeba było widzieć naszą radość! Natychmiast musiałem udać się z nim razem tu do stolicy; oddawna już żądałem widzieć to miasto, i teraz mieszkam na jego koszcie, w piękney gospodzie, żyję lepiey, niż kiedykolwiek. Ale wkrótce powrócę do swojego małego miasteczka, gdzie mnie już czekają, nie nauki uniwersyteckie, bo tych kurs zupełny skończyłem, lecz prywatne po domach lekcye,

móy sposob do życia; wkrótce, ponieważ dzisia wydane od towarzystwa dwadzieścia luidorów już leżą przed mojemi oczyma. Pierwsza ta znaczna summa, moją pracą nabyta, wtenczas tylko sprawi mi prawdziwą przyjemność, kiedy ty, kochana Matko, zechcesz ją przyjąć i obrócić na swoje potrzeby. Wiém, że cierpisz niedostatek, a może i ostatnią nędzę: wiém, chociaż mi o tem nie wspominałaś w swoich listach; ale ja znam twoje serce; jakkolwiek możesz myślić, że moją pracą obchodzić się mogę, jednakże zawszebyś mi przysyłała choć poniewiele, gdybyś i to niewiele przysłać była w stanie; lecz ty nie mogłaś nic dla mnie uczynić, a ja też nie miałem sposobu bydź tobie pomocą. Ach, móy Boże! ileż razy myśl sama o tém, napełniała łzami oczy moje; ale za to jaśniey błyszczą teraz na nich łzy radości, kiedy posyłam tobie, kochana matko, znaczne wspomożenie, radość moja jest tak wielka, że ty pewno nie zechcesz jey zniszczyć swojém odmówieniem. Nie! ty tego nie uczynisz! przeczucie radośne mówi mi, że dzisia wszystko mi póydzie pomyślnie. O jakże ten blask złota dla mnie jest luby, kiedy wiém, że on i twoje oczy uderzy! Lecz muszę już kończyć; wkrótce znowu napiszę do kochaney Matki.

Jey *Konstanty*.

„Nigdym sobie nie wyobrażał, iżby te swiecące złote krążki mogły mnie tyle radować"— mówił młodzieniec list składając, i z usmiechem żywego wzruszenia, patrząc na leżące przed nim luidory. „Jakże mi dobrze, jak miło! Szkoda, że po ślicznym poranku takie chmury nade-

szły, nie można póyśdź w pole i marzyć sobie na świeżém powietrzu. Ale naprzód trzeba list odesłać". Zapieczętował więc, kopertę zapisał, i tylkoco wziął się za luidory, kiedy wszedł jego przyjaciel.

„Jak w porę!" rzekł do niego na wstępie Konstanty: „zaprowadź mię zmiłuy się na pocztę; ale powiedz też, jak mam odesłać to złoto?"

„Zapewna posyłasz do domu? Dobry z ciebie chłopiec! Lecz daleko taniey i wygodniey byłoby przesłać wexel."

„Nie!" odpowiedział uśmiechając się Konstanty: niechay tam złoto odbiorą."

„To możesz i tak zrobić, aby tam za wexlem wypłacono w złocie. Ja przyymuję na siebie postarać się o to."

Konstanty potrząsł głową. „Nie! niechay to samo złoto będzie tam przyjęte. Patrz jeszcze ono błyszczy moją radością; mnieby ta myśl smuciła, że wzrok dobrey mojey matki padnie nie na tę samą monetę, którą jey syn zapracował: zdaje się, że wtenczas cała posyłka niceby nie znaczyła."

„No, jakże sobie chcesz! Tylko jeśli masz dziś posyłać, trzeba pospieszyć; teraz sama pora. Idźmy, i lepiey day im tam cokolwiek, żeby ci zawinęli luidory, bo wiedz, że je liczyć będą. Idźmy!"

Poszli obadwa na pocztę, ale już było poźno. „Nie troszcz się tak móy kochany!" mówił przyjaciel Konstatemu. „Wszakże złoto nie uciecze od ciebie. Cóż teraz będziemy robić w dzień tak dżdżysty? jeszcze długo czekać nim teatr będzie. Słuchay: ty powinieneś dostate-

cznie poznać miasto, gdzie się ja rodziłem. Zaprowadzę ciebie na jedno mieysce, o którém się nam ani sniło w naszém uniwersyteckiém gniezdzie." Konstanty, nie rozpytując się, poszedł za nim.

Weszli do kawiarni, gdzie znalezli wiele młodzieży. Jedni siedzieli, chodzili drudzy, z interessem przypatrując się grającym w bilard.

Tu kazali sobie dać czokolady, wypili po filiżance, a potem przyjaciel Konstantego wziął go pod rękę i szepnął markierowi parę słów na ucho, ten kiwnął głową na znak, aby się udali za nim, i wyszedł przeze drzwi uboczne, prawie niewidzialne. Poczekawszy z minutę i oni wyszli tędy, nie będąc od nikogo uważani. Przez kilka wązkich korytarzy, zostali nakoniec wprowadzeni do obszerney sali, która przychodzącym ze światła wydała się z razu trochę przyciemną, ponieważ okna były zupełnie zasłonione, a tylko u sufitu wiszący wielki żyrandol i mnóstwo świec palących się na stole, oświecały tę ciemnicę. Chociaż około stołu cisnęło się kilka rzędów osób, w całey jednak izbie martwa cichość panowała, niekiedy tylko odzywające się wyrazy *gagné-perdu*, szczególném brzmieniem raziły słuch przychodniów, do tego łączył się jeszcze dźwięk rzucanych złotych pieniędzy. Niezwyczayne uczucie trwogą przeniknęło serce Konstantego, pierwszy raz uyrzał się on w wierutney srébrney sali.

Bardzo bydź może, że podobne schadzki tajemne zdarzały się i w uniwersyteckiém siedlisku, jak się wyrażał przyjaciel Konstantego. Ale

ten ostatni tak mało był z niemi obeznany, że mu ani przyszło do głowy, ich się wystrzegać. Nigdy on nie wdawał się z ludźmi, których prowadzenie się było niezupełnie wolne od skazy. Wszedłszy do uniwersytetu, troszczył się jedynie, aby zadosyć uczynić żądaniom swojey matki, spełnić jey nadzieje, dążyć całemi siłami do tego, aby przez swoje usposobienie zapewnić jey byt spokoyny na starość. Zresztą był wesoły nawet aż do pustoty; łatwo poruszała się krew jego, kiedy się mu zdarzało bydź świadkiem jakiego ślachetnego albo też nikczemnego postępku. Przyjaciołom duszą oddany, podzielał z nimi igraszki, niekiedy nawet mógł się posunąć do nadużycia, ale zawsze umiał zachować nieskazitelność duszy, czyste obyczaje, i niezepsuty sposob myślenia. A jeśli czasem przez żywość młodości pozwolił sobie tego lub owego sprobować, zawsze jednak umiał wczas oprzeć się namiętności, skoro tylko w duszy swojey osądził ją za szkodliwą. Pomnąc na matkę, jak na anioła stróża, rzadko on kiedy mylił się w zdaniu, co jest godziwe; i teraz, chociaż nigdy nie bywał za stolikiem karciarzy, czuł jednak, że zasmuciłby się duch matki, widząc go uczęstnikiem gry takiey. Zdawało się atoli, że ogromna kupa złota, przed bankierem stojąca, jakiey on dotąd nigdy nie widział, i która z taką łatwością to się powiększała, to znów rozchodziła się po ręku grających, zdawało się, że ten widok nowy, zaczął mieć niewyrażony powab dla niego, od tego czasu, jak mała cząstka podobney kupy, jeszcze tegoż dnia zrana, sprawiła jemu tak niezmierną radość.

Poglądał on to na górkę złotą, to na otaczające ją osoby, po większey części wybladłe, ponure, znużone. Jedną z nich tylko znalazł bydź godną szczególney uwagi. Wprost naprzeciw jego siedział człowiek w surducie ciemnoszarego koloru, bardzo czysto, a nawet starannie ubrany. Jak zdawało się, mógł mieć lat około trzydziestu; głowa jego była nieco szczupła, kształtna jednak; włosy gładko i krótko ostrzyżone, zaledwo dotykały się ściągłey, chudey i bladey twarzy; we wszystkich jego rysach widzieć można było udręczenie duszy; błękitne, pozbawione ognia oczy, lecz przez samo ponurość rzucające przenikliwe spóyrzenie, zwiedzały wszystkich wokoło, kiedy on sam tymczasem obojętnie, z niejakąś pewnością nawet ponitewał, i, jak Konstanty uważał, prawie zawsze wygrywał. Szczególnie zaś dziwną wydawała się jego niema z bankierem rozmowa. W zdarzeniach, kiedy bankier czynił mu pytania, do których zazwyczay gra podobna nie częsty powod nastręcza, on poglądał tylko na stojącego za nim małego wzrostu podżyłego i bardzo otyłego człowieka, który chociaż jednostaynie z nim był odziany, jednak, jak się z obeyścia pokazywało, bardzo był jemu podległy. Przy takiém spóyrzeniu, stojący za krzesłem nizki człowiek, zwyczaynie za nieznajomego odpowiadał, co zapewna nie było mu trudno, bo pilniey na grę uważał, niżeli sam grający.

„Ach! gdyby choć połowa tey kupy złota, tak obojętnie przez tego człowieka zgromadzoney, była twoją” mówił w myśli Konstanty sam do siebie: „wtenczas mógłbyś choć w części na-

sycić tak goracą chęć zwiedzenia świata! Cóż szkodzi szczęścia sprobować!" mignęło mu przez głowę. „Wszakże dzisiay" szepnął mu głos wewnętrzny, „dzień szczęśliwy dla ciebie, twoje przeczucie to zapowiedziało." Prawie mechanicznie wsunał rękę do kieszeni i chwycił mały paczek; ale za pierwszém dotknieniem mróz mu przeszedł po wszystkich żyłach: „te pieniądze już do twojey matki należą!" Dłoń ścisnęła się około paczka, jakby chcąc go mocniey przytrzymać.

W tém towarzysz jego wcisnął się między nim i jego sąsiadem, stanął przy stole, chwycił talią kart, wyciągnął jedną położył na niey złoty pieniądz i szepnął do ucha Konstantemu, że go prawídeł gry uczyć będzie. Potem wygrawszy kilka luidorów znowu mu szepnął: „czy chcesz bydź ze mną w połowie?" Konstanty jeszcze raz spóyrzał na kupę złota i prawie nie chcąc kiwnął głową. Z rozmaitém szczęściem trwała gra blisko kwadransa, kiedy nagle ktoś uderzył towarzysza po ramieniu: obeyrzał się on i poznał jednego z dawnych przyjacioł, z którym się długo nie widział. „Natychmiast!" rzekł spiesznie, wygrał jeszcze jedną stawkę, rzucił biegły wzrok na całą wygraną, oddzielił połowę, parę monet złotych, i odsuwając je Konstantemu, szepnął mu do ucha: „weź co tobie przypada, ja muszę pomówić z przyjacielem. Ty masz szczęście, bo ja sam jeden nigdy nie wygrywam; pogray trochę, nim ja powrócę." To rzekłszy wyszedł z sali.

Słowa jego powtórzyły się w sercu Konstantego. Smiało stawił on stawkę, wygrywał,

przegrywał, wkrótce znikły zostawione przez przyjaciela luidory. Tym czasem bardziey się zapalił; tysiące złotych krążkow swoim blaskiem, jak roziskrzone oczy przenikały jego duszę. „Toś jeszcze nie swojego szczęścia probował!” mówił doń głos tajemny: „złoto twojey matki, jey życzliwość, lepiey tobie szczęścić będzie.” I wnet, jakby konwulsyyne ręki ściśnienie, rozerwało paczek w jego kieszeni; palce grzebały się w złocie. Wyjął jednego luidora, i wnet go przegrał. „Przypadek!” rzekło natchnienie serca, ściśnionego bojaźnią straty i chęcią zysku. „Czyż można za każdym razem wygrywać! ta nadęta kupa doświadcza mojey śmiałości lub bojaźni, a przytem muszę dopełnić móy paczek.”

Postawił jeszcze luidora i wygrał; jeszcze jednego, znowu wygrał; obadwa, i jeszcze wygrał. Wtenczas stracił przytomność, odszedł go rozsądek, jakieś porywające uczucie całkiem go opanowało, tłum udręczeń, nadziei, radości, odurzenia; żywość młodzieńca zmieniła się w zapał, bez przytomności, bez pamięci grał i grał ciągle, coraz z większą nadzieją za każdą przegraną, z większą odwagą po każdey wygraney; ale nie przeszło pół godziny, kiedy się jego kieszeń wypróżniła. Czarna, zabóycza rozpacz, jakby ze snu go wyrwała. Zaledwo zostało mu tyle rozsądku, żeby nie zwracać na siebie mocnieyszey grających uwagi. Osłupiały, nieporuszony, stał jak przykuty do swojego mieysca, zaćmione, lecz pełne jeszcze zazdrości oczy, nie mogły oderwać się od zwiększającey się coraz kupy złota, przed obojętnym, naprzeciw jego siedzącym graczem, błyszczącey. W takiém otręt-

wieniu poczuł on nakoniec, że go ktoś schwycił za rękę. Był to jego przyjaciel. „Cóż tak stoisz próżno? spytał się go z uśmiechem.

„Już skończyłem" odpowiedział Konstanty, krótko i niewyraźnie.

„Jakże się powodziło?"

„Tak sobie, ni to, ni owo."

Przyjaciel jego wiedział, na co były te pieniądze przeznaczone, był świadkiem jego radości, nie mógł więc wyznać przed nim, jak nikczemnie je stracił; do tego myśl przykra, że dostatni przyjaciel może zechce szukać sposobu wynagrodzenia jemu tey straty, nakazywała milczenie. Rozjątrzony w duszy nie stracił jeszcze głowy: jak mogąc wymuszał na sobie powierzchowność obojętną.

„Idźmyż więc, rzekł przyjaciel: już czas na teatr, póydziemy zobaczyć *Zbóyców Szyllera.*"

W tak smutném i prawie rozpaczającém usposobieniu duszy, w jakiém znaydował się Konstanty, tragedya ta, zawsze ułudzająca młodzież, musiała na nim albo zbyt mocne, albo żadnego nie uczynić wrażenia. Znał już on ją przedtém, lecz teraz nadzwyczay piękne wystawienie wzruszyło go do żywego. Osoba Karola Moor, nie tylko wzbudziła w nim tkliwy interes, ale można powiedzieć, stała się jego własną osobą, przez wspólność uczuć i myśli.

Po skończoném widowisku chciał sobie użyć rozrywki, jak miał zwyczay, w samotney przechadzce; lecz przyjaciel, uważając w nim cóś niezwykłego, nie chciał go opuszczać, zapraszał do siebie dla przepędzenia reszty wieczora w

domowém towarzystwie, a nareszcie widząc nieprzełamany opor Konstantego, poprowadził go do jego własney kwatery w zamiarze wieczerzania z nim razem w traktyerze przy stole publicznym. Chociaż i to nie było ze wszystkiem po myśli Konstantego, jednak nie miał już on powodu odmówienia.

Siedziało za stołem osob niewiele, i przeto swobodnieysza była rozmowa, coraz bardziey dobrém winem ożywiana. Chętnieby milczał Konstanty, ale uważający przyjaciel nie spuszczał z niego oka, to zmuszało go wdać się do powszechney rozmowy. W duszy jego wrzał gniew i smutek, wino zapaliło wyobraźnię, rozgadał się więc, bez pomiarkowania, bez względu na przystoyność. Podczas ogólnych uwag nad odbytą sceną, jakiś suchy podżyły człowiek odezwał się z narzekaniem, że w Niemczech nie przestają jeszcze wystawiać sztuk takich, w których występek, w usprawiedliwioney, a nawet powabney, postaci odmalowany, łatwo może młodzież pociągnąć do naśladowania.

„Bayka! krzyknął wtenczas Konstanty, zaledwo mogąc wysłuchać cierpliwie: „nie powab, jeśli się to ściąga do młodzieńca, niezupełnie z rozsądku obranego, ale wstręt obeymuje, widząc jak dobre jest blizko złego! W powabney postaci! jak można tak mówić? A czyliż nie to samo jest główną zaletą i w poezyi, że skłania serca do litości, do pobłażania, właśnie wtenczas, kiedy ciemny motłoch wołał: karzcie, wieszaycie! Czyliż dla tego wydaje się jemu gorszącém takie wystawienie występku, że ułatwiony jest sposob widzenia, prawie niedostrzeżonych ście-

żek, któremi nieszczęsny do zguby był wiedziony, widzenia całego zbiegu okoliczności tak zblizka, że w głębi duszy naszey musimy uczuć, jak, nie sobie, lecz jedynie Opatrzności dziękować należy, za strzeżenie nas od zdarzeń, w których możebyśmy prędzey, niż ten nieszczęśliwy, podlegli ułomności. Czy sądzisz, móy panie, że tylko nędzarze na widowiskach i w samém życiu przeznaczeni na szubienicę, od których znakomitsza klassa ludzi ze wzgardą wzrok odwraca, kiedy widzi, jak ich prowadzą na plac kary, że ci tylko są nikczemnymi zbrodniarzami? albo że oni, ze wszech miar, chociaż znamy nawet, co ich uniewinniać może, nie powinni bydź tak uważani, jak ci, z których jeszcze maska nie zdjęta? Może się zdaje, że w towarzystwie polerowném, wszyscy są wolni od ciężkich przestępstw, od zabóystwa nawet; dla tego jedynie, że więcey mają sposobów, przyjaciół, przewrótności, a może i wewnętrznego zepsucia, do łatwieyszego skrywania swoich zbrodni? Wiele jest rodzajow zabóystwa; nie tylko żelazem, można zabić jednêm słowem, zgubić jedną kartą. A nawet bywa to z namysłu, czyliż życzenie złego nie jest kuszeniem się o szkodzenie? Czemużby więc nie patrzeć z interessem, jak wielka dusza w srogiey walce zbija się z prawey drogi życia, kiedy tysiące innych bez naymnieyszego oporu uległa swoim namiętnościom? Nie! mówił daley, i oczy jego padły przypadkiem na niemego gracza, który zagarnął część jego pieniędzy, a teraz siedział tu u końca stołu: „Nie, nie ma żadnego niebezpieczeństwa, widzieć w życiu sidła utajone, rozciągnięte sieci przyłudy; lecz

to jest niebezpieczném czego nie widzimy; małoż to złego kryje się w ludziach; serce każdego przed obcym wzrokiem zakryte. Któż wie, może za tym stołem, gdzie się ledwo dwadzieścia osob znayduje, może nawet między nami jest zabóyca?"

Te słowa nierozważne sprawiły powszechne milczenie. Każdy spuścił oczy, uważając je za krzywdę, jeśli nie dla siebie, to dla drugich. Nastąpiła cichość zupełna, w samym nawet Konstantym rodząca przykre uczucie; tem bardziey, kiedy wzrok jego spotkał niezauważanego dotąd przezeń człowieka, który siedział naukos przeciw niego, i zdawał się bardziey nad innych dotknięty tém rozprawianiem. Powierzchowność nieznajomego wydawała się tak szczególną, że wzrok raz w nim utkwiony, oderwać się nie mógł. Lat średnich, ubrany bogato, chociaż prawie z cynickiém zaniedbaniem: kosztowny soliter błyszczał mu na spince i mnóztwo brylantów na palcach; rysy twarzy były nieznaczne, prawie rozerwane, jeśli tak można powiedzieć, jak siatka, przez którą się wymknęły czy wyparły wszystkie udręczenia; oczy jego, chociaż pierzchały trwożliwie przed każdém bystrém nań spóyrzeniem, jednak z wyrazem pewney zarozumiałości, z przedmiotu na przedmiot błąkały się wokoło. Lecz nadewszystko cera zwyczaynie żółto śniadawa, podczas rozmowy Konstantego w białość ołowianą zmieniona, dopełniała odrazy, coraz bardziey rozlewającey się w młodzieńcu, na niego patrzącym. Przy pierwszém spóyrzeniu wydawał się on Indyaninem: jakoż takim sam siebie mianował; ale im bardziey

kto się wpatrywał: bo do tego wszystkich mimowolny wewnętrzny wstręt pobudzał, tém bardziey był przekonany, że twarz jego zwyczayna europeyska, była tylko jakąś błoną przeźroczystą, jakby pleśnią grobową powleczona. Powstający z mogiły na biesiadę Machbeta cień Banko, naypodobnieyszy miałby w nim wizerunek.

Zaledwo Konstanty zdołał zrobić podobne postrzeżenie, kiedy ten sam suchy mężczyzna, który właściwie zaczął pierwiey rozmowę, odezwał się krótko i surowym tonem. „Móy Panie! żądałbym od niego bydź lepiey objaśnionym w tym razie."

„Jak to?" zapytał Konstanty.

„A tak" rzekł ten pospiesznie przyymując na siebie postać poważną: „że ja, z mojego obowiązku w tuteyszém mieście, mam prawo śledzenia, a tém bardziey teraz, kiedy jego przymówki, jeśli nie miały celu skrzywdzenia tu przytomnych, powinny bydź usprawiedliwione wydaniem namienionego złoczyństwa, poczém będzie jego powinnością złożyć na to ważne dowody."

„Bardzo dobrze!" zawołał Konstanty niecierpliwie: „jeśli tylko równo, jak ja, przez zabóystwo rozumie zadanie śmierci jakieykolwiek istocie żyjącey?

„Tak jest, tak!" odpowiedział tamten: „ja nieinaczey rozumiém." Wszyscy obecni, chociaż obrażeni przez nieuważne słowa Konstantego, mimo to wszystko nieskłonni pochwalać napaści urzędnika policyi, z niespokoyną cieka-

wością obrócili się do młodzieńca, czekając niecierpliwie co on powie.

„Otoż” mówił daley Konstanty, jak mógł nayzimniey, chociaż z mimowolném drżeniem wzrok jego był utkwiony w wyschłą coraz bardziey mieniącą się twarz siedzącego naprzeciw nieznajomego. „Ja sam jestem zabóycą. Przeszłey nocy w tymże domu zabiłem jednego uprzykrzonego komara.”

Co w innym razie mogłoby zdawać się płaskim żartem, teraz wszystkich jakby odrodziło z przykrego zatrwożenia. Nagle głośny, powszechny śmiech rozległ się po sali. Przyjaciel Konstantego, który z większą niespokoynością, niż kto inny, słuchał tey rozmowy, chwycił natychmiast swóy kieliszek i z wesołością szczerą prosił wypić za zdrowie zabóycy; zgodzili się wszyscy, śmiejąc się z całego serca, że sprawa inny obrót wzięła. Umilkł zawstydzony urzędnik policyi.

„Tęgi chłopiec z ciebie!” rzekł przyjaciel do Konstantego, kiedy w godzinę potém rozstawali się z sobą. „Dobrze, żeś się tak wywinął. Ale powiedz mi zmiłuy się, jakie licho podszepnęło tobie te słowa? Mnie samego strach przejął, chociaż nigdy patrzeć nawet na krew niemogłem i zupełnie spokoyne moje sumnienie. Drudzy, podobno trochę więcey stchórzyli; ten jegomość z wielkim soliterem na ręku, wyglądał w tenczas zupełnie jak djabeł. Jaka to twarz! jaka twarz!”

Konstanty zaledwo co tylko uwolnił się od wewnętrzney przykrości, doświadczaney razem z innymi podczas wieczerzy; natychmiast wła-

sna jego dolegliwość, przytłumiona na chwilę, znowu serce mu ścinęła. „Otoż móy dzień szczęśliwy!” zawołał on wtenczas: „jakże łatwo zaślepiać siebie próżném marzeniem! Nie tylko swoję radość, swoję spokoyność przegrałem; ale nie wiele brakło, żebym jak oszczerca stanął przed sądem.”

Noc nie przyniosła odpoczynku skłopotaney głowie Konstantego; ledwo co o świtaniu zamknął on zmordowane bezsennością oczy, kiedy blask słońca znowu go obudził. Sam nie przy sobie, opuścił łóżko i poszedł na przechadzkę. Zupełnie nie takiemi jak wczora pokazały się jemu piękne okolice miasta. Nic go zachwycać nie mogło: wszystko stawiło się w smutney postaci przed jego błąkającym się wzrokiem. Lecz chwila po chwili, jego uczucia, tak blizkie przyrodzenia, zaczęły odżywiać się świeżém powietrzem i wdziękiem widoków. Zgryzota z popełnionego wczora błędu zamieniła się w zaburzoney duszy, na tęskne, ale nie długie, nie ciężące sumnienia zmartwienie. „Nie!” mówił on ciesząc sam siebie: „nigdy już grać nie będę, dosyć przypłaciłem za naukę, zabiłem swoję radość tak dawno żądaną. Właściwiey powinienem był wczora odpowiedzieć. Ja sam jestem zabóyca własnych, nayżywszych uczuć swoich!”

Powolnym krokiem wrócił on do domu. Było już nie rano i zwyczaynie o tey porze przyjaciel jego odwiedzał. Zdjął klucz od swojego pokoju z numerowaney tablicy (*), i poszedł do

(*) W wielu domach gościnnych w Niemczech, klucze od pokojow mieszkających tam podróżnych, zawieszają się w izbie gospodarza na tablicy pod numerami, odpowiednemi numerom pokojów.

siebie ciągle jeszcze w złém usposobieniu, jak człowiek nie dobrze po winie wyspany. Natychmiast oczy niego padły na leżący na stole pakiet zapisany do jego. Wziął go prędko i poważył na ręku, bez wątpienia! były w nim pieniądze. Czyliż to już przyjaciel dowiedział się o jego stracie? niepodobna!, list nie jego ręką był zapisany. Skądże więc? Ktoby tu mógł wiedzieć jego nazwisko, znajome tylko w gronie przyjacioł i zapisane w xiędze rachunkowey gospodarza? niecierpliwie rozłamał pieczątkę.

Przynaymniey pięćdziesiąt nowych i jasnych czerwonych złotych zabłysło przed jego oczyma. Przy tém list był pisany buynym prostym i jak zdawało się udawanym charakterem, a do tego z nienaylepszą pisownią. W nim czytał Konstanty co następuje:

„Młodzieńcze!, smutek ciężący na sercu, udręczający duszę, nie może ukryć się przed wzrokiem tego, kto, zgłębiając tayniki serca własnego, nauczył się przenikać cudze. O jakże okrótne jest położenie człowieka, który przy zgryzotach, tak ściskających duszę, jak zabóystwo, musi jeszcze znosić drobne przykrości życia. Ja mocno cierpię przez zbytek. Ty, zapewna cierpisz także przez niedostatek. Dałeś mi naukę: co się ukrywało w skrytych taynikach mego serca, to usta twoje wydały. Niechże tu dołączony podarunek, daleko mniey znaczący, niż to, bez czego obeyść się mogę, będzie znakiem wdzięczności. Ja równie, jak ty, zachowuję politowanie, ale też razem i *milczenie*."

Kilkakrotnie Konstanty odczytał te dziwne wyrazy i nie mógł zupełnie zrozumieć. Zdawało

się, że ich znaczenie, natchnione było nie przez błahą pobudkę, ale przez jakieś głębokie uczucie; lecz przy tém zdawało się także, iż piszący może się stara przekupstwem skłonić go do milczenia, jakby sądzono go panem jakieyś tajemnicy, o którey on nie miał żadnego pojęcia. Nie można było wątpić, że pakiet ten wychodził od któręgokolwiek z gości wczorayszego wieczora; ależ od kogo? i jakim sposobem znalazł się tu na stole?

Zaczął on przypominać sobie wszystkich, którzy byli na wieczerzy; dway tylko szczególniey wrazili się mu w pamięć: jeden gracz milczący, u stołu niemieszający się do rozmowy, nie mówiący ani słowa; drugi, co siedział ukośnie naprzeciw niego, swoim dziwnym kolorem twarzy wstręt wzbudzał i przynaymniey z błyszczących na nim brylantow mógł uchodzić za wielkiego bogacza. Konstanty wzdrygnął się na myśl, iż może to on uczynił ten podarunek; jednakże ta myśl ogarnęła go zupełnie, myśl ta jakby oczy mu otworzyła; tem mocniey więc postanowił nie przyymować tych pieniędzy.

Zadzwonił, i wkrótce przybyły służący z traktyeru nie mógł nic mu powiedzieć. Wtém sam gospodarz przechodził mimo drzwi otwartych, Konstanty go zaprosił, lecz żadney także nie powziąwszy wiadomości, nagle zmieniając rozmowę zapytał: co to za jeden był wczora przy wieczerzy, z wielkim soliterem na palcu, tak a tak ubrany?

„A ten? Zapewna Pan chce mówić o bogatym Indyaninie, Panu Sztokwel? tak, tak! on zbogacił się handlując brylantami, które i teraz

błyszczą u niego na wszystkich palcach. Jest to szanowny człowiek; ma osiąśdź w naszém mieście i chce mieszkać u mnie, nim się urządzi. Jabym życzył, żeby on jak naydłużey w moim domu przebywał. To prawie do nieuwierzenia, ile on czyni dobrego, a wszystko skrycie, wszystko przeze mnie, wszystko przeze mnie! wie on, że ja milczeć umiem. Jaka to wspaniałość! Widzi Pan: jest on trocha porywczy i skłonny do gniewu z przyrodzenia, ale jeśli mu wyrwie się jakie słówko, albo jeśli tylko pokaże komu czoło zasępione, już się nie obeydzie bez tego, żeby hoynie nie nagrodził; trzy, cztéry, dukaty u niego są niczem, a jak biedakowi to i na rękę. On sobie uymując wyszukuje biednych, żeby im pomoc uczynić."

„Czy mogę ja z nim pomówić?" pytał się Konstanty, bardziey jeszcze temi słowy gospodarza w swoiem domniemaniu utwierdzony.

„Dla czego nie?" odpowiedział traktyernik przeciągle i z badającem spóyrzeniem. „Albo może Pan mnie poleci. Owszem mogę dla tego, że on sam zawsze bardzo ponury, zamyślony, i gdyby nie interessa, cały dzień niktby w świecie go nie widział. Wieczorem tylko przychodzi do stołu, bo przy ogniu, jak on sam powiada, jego nieszczęśliwa powierzchowność nie jest tak udeżrzająca. Ona to właśnie czyni go posępnym i trwożliwym, sam się przyznał przede mną. No, cóż robić, każdy ma swego mola, co go gryzie, a szkoda dobrego człowieka! To więc Pan życzy, żebym ja pomówił.

„Nie, nie!" przerwał prędko Konstanty: „ja sam chcę z nim mówić.

„A więc ja Pana do niego zaprowadzę: on jeśli może tylko co komu uczynić, proszę niech Pan idzie za mną."

„Natychmiast! rzekł Konstanty chowając tym czasem do kieszeni list i pakiet. Weszli oni jeszcze wyżey na wschody; gospodarz zapukał do drzwi, powiedział kto i poco przychodzi, i skoro tylko zewnątrz otworzono, oddalił się, mówiąc Konstantemu, że P. Sztokwel tylko sam na sam rozmawia.

Zaledwo wszedł Konstanty i zobaczył gospodarza kwatery, kiedy oba prawie cofnęli się jeden od drugiego: ostatni z niespodziewanego przybycia gościa, a ten z przyczyny, że Sztokwel w swoim Indyysko-wschodnim rannym ubiorze białego koloru, bardziey niż wczora wyglądał na trupa. Jednakże Konstanty poprawił się prędko, i rzekł ze zwyczayną sobie śmiałością: słysząc tak wiele z ust gospodarza tego domu, o hoyności i dobroci Pańskiey, wątpić nie mogę, żebyś to nie Pan był tym dobroczyńcą, który."

„Czemże mogę," przerwał bogaty kupiec brylantow, z przyjaźném, lecz razem niespokoyném spóyrzeniem: „czém mogę jemu służyć? Chętnie pomagam jeśli mnie możność pozwala, lecz," dodał z przenikliwym rzutem oka: „ja powinieném znać tego, komu co czynię."

„Pan nie znając mię nawet," odpowie Konstanty: „chciałeś obdarzyć podarunkiem, którego jednak ja przyjąć nie mogę; jestem ubogi, to prawda, jeśli tylko to nazwisko poniżające, powinno służyć pracującym na kawałek chleba; lecz jestem dostatni: bo mam z pracy tyle, ile potrzebuję. Te pięćdziesiąt czerwonych złotych"

mówił daley wyymując pakiet: potajemnie przez jego mnie porzucone."

„Jak! co?" zawołał Indyanin z wyraźném pomieszaniem: „ja, miałbym jemu, my nawet nieznamy jeden drugiego, móy panie! wreszcie, może ja mu znajomy?

„Za co nie mówić otwarcie, kiedy się pewno rozumiemy nawzajem,?" rzekł Konstanty z żywością: „znalazłem dzisia u siebie ten paczek ze złotem i przy nim krótki list zapisany do mnie. Pan, jak słyszałem, jesteś bogaty i hoyny, mnie w tuteyszém mieście nikt nie zna, może bydź, że i Pan także; przyczyny, które były mu pobudką, nie są mi wiadome; ale dla czegożby nie miał powiedzieć otwarcie: ty się mi podobasz, i to mię skłoniło uczynić tobie dobrodzieystwo?"

Pięćdziesiąt czerwonych złotych? przerwał znowu Indyanin, takim głosem, jak gdyby chciał pokazać, że się on jemu nie nadto podoba. „Cóż? winszuję! ja w jego wieku nie dałbym się prosić dwa razy; prawdziwie przystałbym wtenczas na wszystko za taki datek." To mówiąc chwycił paczek, spóyrzał na pieniądze, i zaczął list czytać, spoczątku głośno, potém nagle głos spuścił i zatrzymał się. „Wybornie!" dodał po krótkiém milczeniu: „Tu i przyczyna bardzo jasna, a jednak WPan nie chcesz przyjąć pieniędzy?"

„Zdaje się, zgadłem od kogo ten podarunek, zdaje się, komu należało, złożyłem podziękowanie," rzekł Konstanty odchodząc.

„Nie chce więc przyjąć? dziwna rzecz!" mówił dalcy Sztokwel, oglądając bystrym wzro-

kiem młodzieńca, „Z jakieyże to przyczyny? To nie ode mnie, powiadam mu. Przypuśćmy,” dodał potém z przeciągnieniem: „gdybym się i nazwał przeszłym właścicielem tych pieniędzy, cóżby to jemu przyniosło? jakiby stąd był skutek?”

„Zadnego!” odpowiedział Konstanty, nie zupełnie ochłonięty z gniewu za poprzednie wyrazy Indyanina, które, jak mu się zdawało, bardziey jeszcze utwierdzały jego domysły: „żadnego; ponieważ jestem niesposobny do dwóch rzeczy: nie dam się przekupić do milczenia, ani też w żadném zdarzeniu nie mogę bydź oskarżycielem.”

Sztokwel widocznie dotknięty, spuścił oczy. „Co Pan chcesz przez to rozumieć?” rzekł głosem obojętnym ale nie dosyć mocnym, i rzucił na Konstantego przenikliwe, biegające, lecz razem trwożliwe spóyrzenie. „Ja tego nie rozumiém, wcale nie rozumiém.”

„Odpowiadam na własne jego słowa, albo jeśli się podoba, na to, co tu napisano, i co zapewna bardzo dobrze jest jemu świadome.”

Sztokwel spóyrzał na jego z podziwieniem. „Cóż tu jest napisano?” powtórzył prędko, i oddając list porywczo, jakby się ten zapalił w jego ręku, rzekł do Konstantego: „Proszę mi przeczytać, co tu napisano, ja bez okularow nie dowidzę. Wszystko dla mnie, równie jak i dla jego jest zagadką; proszę przeczytać.”

W tym razie było w nim cóś tak niewymuszonego, że Konstanty sam zaczął powątpiwać. Lecz kiedy począł głośno list czytać, wtenczas tajemne wyrazow znaczenie, w bliskości takie-

go człowieka, przejęło go jakąś trwogą, ale daleko większe przerażenie wydawało się przy każdém słowie, na twarzy Indyanina, który zaledwo z widocznie chwiejącą się stałością wysłuchawszy do końca, ścisnął list i zgniotł go w ręku Konstantego krzycząc: „zabóystwo! milczenie! tak, tak! Bóg wié, czego nie myślisz narzucić na mnie temi słowami i tym tonem! Porzuć móy Panie! chcesz, jak widzę, złowić mię w sidła? co się to ma znaczyć? czy istotnie sądzisz, że ten list ode mnie. Proszę mówić prosto! zapewna odraźliwa twarz moja wzbudziła w nim te myśli? Tak, tak! ja wiem: jestto przeklęstwo, ciążące nade mną, które mię czyni podeyrzanym u wszystkich, wydziera mi wszelką pociechę, ściąga na mnie" mówił daley chwyciwszy za sznurek i dzwoniąc z całey mocy: „potwarz, szyderstwa, obelgi; dla tego to nazywają mię Hottentotem, diabłem, straszydłem, i cały świat ode mnie ucieka. O, ja to znam bardzo dobrze! Jestem odrzutkiem na świecie; za jakie to grzechy, za jakie ciężkie grzechy rodziców moich potwor taki byt swóy odebrał! Gospodarza, zawołay gospodarza!" krzyknął on do wchodzącego sługi: „Proszę mię samego zostawić móy panie! ja tak jestem przerażony. Niechay dziękuje Bogu, że go tak wypuszczam: albo nie, proszę zaczekać, nim gospodarz przyydzie, proszę zaczekać!"

Konstanty nie mógł się temu oprzeć, nie będąc w duszy obrażonym. Znikło w nim zbyt porywcze podeyrzenie zabóystwa; mocne uczucie tak nadzwyczaynego nieszczęścia, wydające się w słowach bogacza i w jego oczach, łzami

rozżalenia zmoczonych, mocno go zmiękczyło. Zbliżył się prędko do niego i wziąwszy za rękę rzekł scicha: „Niechay się Pan na mnie nie gniewa, okoliczności mię uwiodły. Proszę wierzyć, tkliwe serce ludzkie, pod jakąkolwiek powierzchownością, zawsze potrafi dać poznać swoję wartość: moja skrucha jest tego dowodem. Przysięgam na Boga, że nie miałem chęci czynić mu krzywdy."

Wzruszony Indyanin spóyrzał na niego z zastanowieniem. „Proszę i mnie wierzyć," rzekł: „że nie jestem złym, ani występnym człowiekiem; twarz moja kłamie, dla tego pozoru odepchnęli mię ludzie od siebie, nawet wtenczas jeszcze, kiedy żadne zło na mey twarzy wyryte, rzeczywistém bydź nie mogło. Lubię złoto i drogie kamienie, to prawda: staram się je posiadać, bo nieożywione istoty wierne są dla mnie, na ludziach zaś oddawna nie polegam, oni wiecznie stronią ode mnie."

„Bo zapewna trafiałeś tylko na nierozsądnych i płochych ludzi, jakim i ja byłem," rzekł Konstanty, ściskając jego rękę.

„Wszyscy sądzili o mnie jedynie z powierzchowności," mówił daley Indyanin, „i dla tego sądzili okrótnie. Gdybyś młodzieńcze mógł ogarnąć wzrokiem całą przeszłość mojego życia, wzdrygnąłbyś się, jak się teraz wzdrygasz na widok mojey twarzy, znienawidziałbyś ludzi za mnie." Tu zamilkł na chwilę, poglądając na młodzieńca, ocierającego sobie łzy, kręcące się po oczach, potém znowu zaczął: „WPanu tak, jak i innym ufać nie mogę; lecz dla mnie wszystko to równo. Jedna tylko istota nad mym lo-

sem łzy roniła; ale i te łzy skamieniały na powiekach od wstrętu, kiedym dał postrzedz twarz moją, i moje serce skamieniało także. Muszę powiedzieć cokolwiek o sobie: może w tey chwili niebo będzie łaskawsze, i nauczy, choć jednego człowieka, sprawiedliwiey myśleć o mnie. Urodziłem się bogatym i razem ubogim, godnym politowania: bo na świat biały przyniosłem z sobą farbę grobową. Mamka nawet ze wstrętem pierś mi dawała. Do wszystkich wyciągałem ręce i wszyscy mię odpychali. Wtenczas żółć, farbująca płeć moją, rozlała się w mém sercu. Rozjątrzony rzucałem od siebie wszystko, skarby nawet same, aż póki mię tysiąc okrutnych doświadczeń nie przekonało nakoniec, że te tylko przyjemności życia są dla mnie, które za pieniądze kupić mogę. Miłość, naywyższe szczęście u ludzi, w mojém sercu stała się męczarnią: bo jey kupić nie można było. Różowałem sobie policzki, żeby bydź mniey odrażliwym, ale i farba do mojey twarzy nie lgnęła. Zamiast litości, śmiech wzbudzałem. Przyjaciół, szczerych przyjaciół, zyskać nie mogłem; ze zgrzytaniem zębów poglądałem na szczęście innych, dla mnie niedostępne. Znalazłem nareszcie jednę panienkę; doświadczeniem nauczony, potrafiłem przed nią skrywać prawdziwy widok mojey twarzy. Jey młodość, pełność czucia, a przytém pomyślne okoliczności ułatwiały moje zabiegi. Pokazywałem się przed nią zmrokiem albo przy świetle xiężyca, którego tylko oszukujące promienie, były dla mnie przyjazne. Zyskałem jey miłość, lecz unosiłem się zbyt wcześnie! Kiedy stanąłem przed nią przy

świetle dziennėm, widok móy wzbudził w niey wstręt mimowolny i zniszczył zaród miłości w nas obóygu. Złoto tylko, blask tylko drogich kamieni, którym dotąd całą miłość moią oddałem, zostały mi wiernémi; dla tego zawsze nie łatwo z niemi się rozstaję," dodał głosem przytłumionym.

Tym czasem wszedł gospodarz i natychmiast zapał zniewalający, z jakim dotąd mówił Indyanin, zmienił się w martwą oziębłość, jakby mgłą twarz jego pokrywającą. „Dobrze, że przyszedłeś," rzekł on obojętnym tonem do gospodarza: „proszę bydź moim świadkiem. Proszę powiedzieć, czy miałeś poruczenie ode mnie zanieść list do pokoju tego pana, albo czy ja to polecałem któremukolwiek ze służących? nareszcie czy ja sam tam chodziłem? czy pytałem się pod jakim numerem on mieszka? czy są u mnie klucze dorobione? alboż jestem tak dobroczynnym głupcem, żebym na próżno rozrzucał moje pieniądze?" Wszystko to wymówił on z rosnącą coraz żywością, po tém, przerywając sam sobie, dodał: „Nie chcąc poruszyłem się jednak do gniewu; żółć znowu twarz mi powlekła, jak u zdjętego z szubienicy. Proszę oddać te pieniądze na ubogich, kruszec zawsze jest zimny: on nieprzydatny jest temu, kto zimney krwi zachować nie umie. I proszę iśdź sobie z Bogiem, móy panie, do mnie jego tajemnice nic nie należą. Proszę tylko wierzyć mojey otwartości. Ja pana nie znam, pan mnie także, i chciałbym, żebyś to wyznał w obecności tego świadka."

„Wyznaję, żem się w istocie omylił,” rzekł Konstanty, zdziwiony tém, co widział i słyszał.

Po tém wszystkiém wrócił on spieszno do swego pokoju, bardziey, niż kiedykolwiek przekonany, że podarunek pochodził od tego dziwnego człowieka; i więcey jeszcze utwierdził się w swojém zdaniu, kiedy odczytując list i porównywając z tém wszystkiém, co się działo, przyszło mu na myśl wyraz *milczenie* odnieść do tego, co wczora przy wieczerzy nierozważnie uczynił. A chociaż znaczenie listu było tajemnicze i dziwne, dziwne, jak sam Indyanin, jednakże znaydował w nim cóś bardzo ślachetnego. Wtenczas zaczął uważać podarunek jedynie jako znak wdzięczności zato, że swoją rozmową usiłował poruszyć serca ludzi do pobłażania podobnym sobie. W tém to rozumieniu poczytywał postępowanie Indyanina z sobą za udawanie, jakkolwiek dziwne, przyjęte jednak dla tego, żeby uniknąć podziękowań, albo nie bydź zmuszonym do odebrania podarunku napowrót. Będąc roztargniony temi myślami, ucieszył się mocno, kiedy po długiém opoźnieniu przyszedł jego przyjaciel i przypomniał mu zaraz o posłaniu listu na pocztę. Wtenczas pomyślił sobie Konstanty, że posyłając część pieniędzy swojey matce ściągnie błogosławieństwo nieba na dobroczyńcę; jednak nie chciał już posyłać listu wczora napisanego, siadł i napisał drugi w krótkich i czułych wyrazach, ale już nie z takim zapałem, jak pierwszy, który nierozpieczętowany zostawił w swojey tece. Potem z westchnieniem odliczył pieniądze i pod zmyślonym pozorem prosił przyjaciela o wzięcie we-

xlu u bankiera na dwadzieścia luidorow. W mocném postanowieniu zapomnieć o wszystkiem, co było; poszedł nareszcie z przyjacielem do miasta, oglądać rzeczy godne widzenia; a wieczorem tak się złożyło, że oba przyszli znowu na wieczerzę do tegoż traktyeru.

Tu znaleźli toż samo towarzystwo, co i wczora, prócz tylko Indyanina. Kilka osob było nowych i wszyscy z widocznym interessem spotkali Konstantego, znak, że wczoraysza rozmowa ściągnęła nań uwagę obecnych wtenczas gości i ich znajomych. To powszechne zwrócenie oczu pochlebiało miłości własney młodzieńca; przepędził on kilka godzin wesołych i przyjemnych, w ciągu których zabrał znajomość z wielu spółstołownikami swoimi. Ci prosili go, aby nazajutrz przyszedł na obiad.

Jakoż Konstanty stawił się na oznaczoną godzinę; lecz zaraz gospodarz z posępną miną dał mu znak, ażeby szedł za nim, i skoro przyszli do jego pokoju, czekający tam urzędnik policyyny, okazał mu zalecenie rządowe, wydalenia się z miasta we dwa dni: dodał przytém w krótkich wyrazach, aby on dla własnego dobra nie sprzeciwiał się temu rozkazowi, i nie robił z tego jakiey awantury. Takimto przyjacielskim sposobem chciano się go pozbyć, dla tego, aby się pokazawszy raz nieostróżnym w mowie, nie ściągnął potém jeszcze większych dla siebie nieprzyjemności.

Milczał na to Konstanty, lecz w duszy jego wrzała zaciętość, i postanowił nie słuchać tego rozkazu. Wróciwszy do stołu, wyczytał na twarzach wielu spółstołowników, że gospodarz

nie zataił przed nimi, co się stało, lecz razem postrzegał z ich względów i podwojoney uprzeymości ku sobie, że wszyscy, równie jak on sam, przypisywali to zemście, niedawno przezeń obrażonego członka policyi.

Podwieczor siedział Konstanty w kącie swojego pokoju, rozmyślając o dniu nieznośnym, który gotów był policzyć między nieszczęśliwe dni życia swego, tém bardziey, że od rana samego był w złym humorze, niekontent z siebie i z drugich. W tém ktoś do drzwi zapukał i skoro się Konstanty odezwał, wszedł nizki otyły człowiek, w którym łatwo można było poznać pomocnika owego niemego gracza, co wygrał część przeznaczonych dla matki dwódziestu luidorow.

„Proszę darować," rzekł zbliżywszy się: „że zupełnie nie mając honoru znać WPana, mam jemu oświadczyć szczególnieysze żądanie. Pan móy życzy sobie widzieć go u siebie, czy nie będzie Pan łaskaw go odwiedzić ?"

„Któż jest ten Pan?" zapytał Konstanty.

„Lord Egleton. Może nawet panu z widzenia znajomy: wysoki, suchy mężczyzna, siada zawsze na końcu stołu. Chociaż sam bardzo jest spokoyny, i nie żąda bydź postrzeganym; jednak nic zpod jego uwagi nie uchodzi. Bardzo Pana podobał i niezawodnie pierwieyby jemu oświadczył swoję skłonność, choć w kilku wyrazach; ale że jest zupełnie niemy."

„Niemy ?" powtórzył Konstanty.

Tak jest w samey rzeczy. Gwałtowny smutek mowę mu odjął. „Ja," dodał sługa pomyśliwszy i czyniąc ukłon, „ja stałem się, jeśli mam tak powiedzieć, jego organem."

Ciekawością pobudzony Konstanty nie ociągał się póyśdź za tym przewodnikiem.

Weszli do piękney, nie zbyt wielkiey sali, niedaleko od pokoju Konstantego. Lord, cały w czerni, jak zazwyczay, powstał z sofy, odsunął stojący przed sobą stolik z papierami i xiążkami, uczynił mały po przyjacielsku ukłon i podając z miłém ujęciem Konstantemu małą karteczkę, prosił go na migi, aby przeczytał.

Konstanty nie bardzo z językiem angielskim obeznany, z pomieszaniem wziął kartkę, ale natychmiast postrzegł z niemałą radością, że była pisana w języku niemieckim i bardzo czytelnym, a nawet pięknym charakterem. Oto jest, co się w niey zawierało.

„Mówią o nas, Anglikach, że lubimy osobliwości, wiadomo jest także, że my na nie niczego nie szczędzimy. Mówię to bez ogródek, żądając jedynie, aby między nami, przez co lepszego, niż moje gwiney zaczął się związek przyjaźni. Wczora u stołu słyszałem z ust WPana, że chciałbyś świat zobaczyć. Ja także niedosyć go widziałem i mnie jest potrzebny, *potrzebny*, mówię, wesoły, rozsądny towarzysz. W nim zdaję się znaydować takiego, iakiegom sobie wystawiał, chociażem jeszcze nie szukał. Tu trzymało mię jakieś otrętwienie duszy. Kiedy w tém dowiaduję się dzisia od naszego, równie skrytego, jak gadatliwego gospodarza, jakim sposobem, obrażona nikczemność, szuka nad nim pomszczenia się; przygotowałem się natychmiast wyjechać, skoro tylko jego młodość podeymie się przyjąć na siebie ciężar niemego człowieka, który ze swojey strony będzie się starał nawza-

jem tyle mu uczynić przyjemności, ile spodziewa się znaleźć w jego towarzystwie.

„Ja potrzebuję jego żywych uczuć młodzieńczych, tey niewymuszoney wesołości, i co naywięcey cenię, jego przyjaźni; tego naybardziey mi braknie, to mógłbym mieć od niego. Kierunek podróży, gdzie sobie WPan życzysz, będzie naznaczony; sposob życia, dobór towarzystwa, od niego będą zależały. W milczeniu i nic mu nie przeszkadzając, będę kontent ze wszystkiego, będę wszystko znosił w jego towarzystwie, tak długo, jak długo sam zamierzysz; dla tego niechay nie zaniedba udzielać mi swoich myśli, swoich postrzeżeń, co mu lepszém zdawać się będzie. Ze jego ufności i czasu ną złe nie użyję, proszę mi w tém zaufać. Jeśli więc zgoda, czekam krótkiey i jasney odpowiedzi w jedném słowie: tak! natenczas nie wielka rzecz będzie usunąć mnieysze, mogące zayść przeszkody.”

Konstanty przeczytał i nieposiadając się z podziwienia, a może też i z radości opuścił rękę, w którey papier trzymał. Lord natychmiast podał mu swoję, z pytającém się spóyrzeniem. Głośno rozległo się mocno wymówione tak! Lord uściskał nowego przyjaciela.

„A przeszkody?” napisał on zaraz na leżącey tuż marmurowey tablicy.

„Zadnych!” odpowiedział Konstanty. „Muszę tylko napisać do mojey matki; albo jeszcze lepiey, kiedy wyboczymy nie wiele z drogi do naszego uniwersytetu, a potém do miasteczka, gdzie ona mieszka. Tam w jey objęciach od-

biorę błogosławieństwo, i wtenczas już całkiem oddam się WPanu."

„Dobrze," napisał Lord: „jutro o godzinie jedenastey zrana będzie pojazd gotowy; a teraz do zobaczenia!" i wszystko tak się stało. Konstanty zapomniał, że go wyganiają z miasta, obaczył się ze swoim przyjacielem i bardzo go ucieszył; a kiedy już dway podróżni, albo trzey raczey, bo stary Wud, wierny sługa Lorda, jego pokojowiec, kamerdyner i kassyer razem, był od nich nieodstępny, kiedy więc wszyscy trzey zajechali do ubogiego domku matki Konstantego, rozsądna kobiéta radośnym uśmiechem pokrywała łzy swoje, zostawując ich wylanie przy gorących modlitwach po rozstaniu się z synem.

Lord umiał zgadywać z wesołych, niewymuszonych rozmów Konstantego, które strony bardzieyby życzył on zwiedzić, i podróż w istocie odbywała się, podług chęci młodego towarzysza, chociaż sam Lord naznaczał jey kierunek. Blisko trzech części roku jeździli oni po świecie, kontenci zawsze z siebie i z zaymujących zdarzeń, których tu nie będziemy opisywali, daleko więcey nas interesuje ich przyjaźń i wszystko to, co do niey należy. Patrzący z ustronia sądziłby niezawodnie, że to jedzie młody człowiek, chcący używać życia, z ponurym mentorem, któremu podlega z przyjacielskiém, a razem prawie synowskiém przywiązaniem; ale ściśleysza rozwaga łatwoby pokazała, że w takiém położeniu nie mogą bydź między sobą dway ludzie, mniey niż o lat dziesięć różniący się wiekiem. I chociaż niemota starszego, a zatém

wdwóynasób tkliwsza o nim młódszego troskliwość, mogłyby oddalać myśl o ścisłey między niemi przyjaźni; jednak jest to fałszywe uprzedzenie, że między przyjaciołmi wolne obeyście się koniecznie bydź powinno; nie tylko ono nie umacnia przyjaźni, owszem daleko częściey ją nadweręża, mianowicie, kiedy obie osoby są nie na jednym stopniu w społeczności obywatelskiey.

Tymczasem Lord Egleton, w przyjacielskiém towarzystwie Konstantego, zdawał się codziennie odmładniać, a przynaymniey coraz stawał się, nie tak tęsknym, nie tak zamyślonym, a niekiedy nawet okazywał niezwyczayną sobie żywość, którą jednak natychmiast, jakby się przypominając, usiłował powściągać. Stary Wud cieszył się z tey odmiany, i chociaż nie był skłonnym do gadatliwośći, często iednak prowadząc szczerą o tem gawędę, dziękował Konstantemu, że pana jego uczynił przystępnieyszym dla przyjemności życia. Ale rzeczywiste okoliczności Lorda były jeszcze tajemnicą dla młodego przyjaciela: ani on nie czynił żadnego o tém pytania lub wzmianki nawet, lękając się obudzić przykrych wspomnień: raz tylko zdarzyło się mu spytać u starego Wuda: „Czy dawno Lord zostaje w takim stanie?"

„Odtąd, jak Milady żyć przestała," była odpowiédź.

„Czy on tak mocno ją kochał?"

„Nie to, że mocno kochał," odpowiedział Wud, starając się uniknąć dalszych zapytań.

„Cóż więc,"? pytał się znowu Konstanty, nie uważając jego pomieszania.

„Ją zabito!" wymówił starzec, prawie przez

zęby, i prosił nie badać go więcey, powiadając, że mu o tém milczeć kazano.

Konstanty zamilkł: nie cierpiał on próżney ciekawości. Dosyć mu było wiedzieć, że jego starania potrafiły skutecznie działać na cierpiącą duszę dobrego, całém sercem przezeń ulubionego, towarzysza. Już przez całe nawet godziny, w wesołym humorze mógł Lord słuchać opowiadań Konstantego, chociaż nie zawsze nowych, ale zawsze świéżych o rozmaitych jego zdarzeniach; niekiedy i sam ożywiał rozmowę, podając na piśmie krótkie, ale znaczące postrzeżenia. Wieczorami Konstanty z ochotą czytywał mu xiążki, chociaż Lord zawsze wyprawiał go z domu, aby szedł w inném weselszém towarzystwie ulżyć sobie ciężar więzow dzwiganych; zdarzało się także, że i sam z nim wychodził, i chociaż bez mowy, żywém jednak wyrażeniem twarzy, umiał we wszystkich obecnych interes wzbudzić. Bywało i to niekiedy, że Konstanty, uniesiony żywością wieku, wpadał w płochą wesołość: Lord i w tenczas mu dotrzymywał, chociaż młody jego przyjaciel sam go przepraszał, myśląc, że mógł na jaką nieprzyjemność narazić: ale do tego nigdy nie przychodziło: wogólności zdarzenia podobne były rzadkie: Lord nie zawsze znaydował się między obcymi pod własném imieniem; nayczęściey uchodząc za guwernera Konstantego, co nie pomału martwiło starego Wuda.

Tymczasem jedno zdarzenie podało zręczność młodemu przyjacielowi, bystrym rzutem oka zgłębić całą duszę swojego dobroczyńcy. Był to czas pamiętny, kiedy nad krainą niemiecką u-

nosiła się groźna burza, dusząca oddech w każdym sercu, kiedy cudze woyska, pod pozorem przyjaźni, przechodziły i załogami swojemi twierdze osadzały, kiedy synowie Niemiec pod mundurami, gwałtem na nich wciśnionemi, ukrywać musieli uczucia nieprzyiaźne, i kiedy potężni władacze, chociaż nie mieli podeyrzenia zdrady, nie zaniedbywali jednak niczego, coby ją uprzedzić mogło. Wtenczasto nasi podróżni, przejeżdżając jedno miasto warowne, zatrzymali się w niém na dni kilka dla odpoczynku, a bardziéy z przyczyny, że Konstanty znalazł tam jednego ze swoich uniwersyteckich przyiaciół, który, zmuszony okolicznościami, zamienił spokoyne swe powołanie na rzemiosło wojenne.

Jeden z dni tamecznego pobytu, był przeznaczony na popis woyska: młody oficer zaprosił obu podróżnych na to widowisko, mając sposobność dać im mieysce przy naznaczonéin sobie stanowisku, skąd oni wygodnie mogliby bawić się widokiem wojennych obrótow. Kiedy się wszystko skończyło, zaprosił on ich znowu z wielu swoimi towarzyszami, na przygotowaną przez siebie z niemałym kosztem i staraniem biesiadę. Bawili się jak nayweseley: bo wszyscy byli w kwiecie młodości; ale równo z zachodem słońca, rozeyść się musieli:porządek woyskowy wymagał, aby nikt z obcych o tym czasie nie znaydował się wewnątrz fortecy. Nie zważając na to przyjaciel Konstantego coraz prosił obu podróżnych zabawić jeszcze chwilę, powiadając, że się postarał, aby mogli odeyść swobodnie. „Ty jutro wyjeżdżasz, Konstanty,” szeptał jemu po przyjacielsku, „a my się jeszcze, z sobą nie nagadali;

kto wié, kiedy się znowu zobaczymy. Dzisia przez samą ludzkość powinienbyś osłodzić mi nudę; tak długiego, tak przykrego bez was wieczora, zwłaszcza, że ja ciągle będę musiał wyobrażać sobie, że ty jesteś tak blisko, a ja sam jeden zostaję na warcie. Bądźcie spokoyni! ja wszystko tak urządzę, że się tu nikt o was nie dowié."

Konstanty pogląda na Lorda, i wyczytując zgodę na jego twarzy, przystawał na żądanie przyjaciela. Ulatywały godziny, a gdy dziewiąta wybiła, oficer sam uznał potrzebę wypuszczenia ich pierwiey, nim, jak powiadał, ront nadeydzie. „Chciałem," rzekł: „dać wam przewodnika, ale tylko co teraz dowiedziałem się, że mnie naysurowszy oficer odwiedzi; potrzeba więc, żeby wszyscy moi żołnierze byli obecni. Bądźcie jednak spokoyni: xiężyc dobrze przyświéca, nie zbłądzicie z drogi. Dam wam płaszcze woyskowe i oficerskie czapki: przechodzić tylko wypadnie mimo dwóch stojących na warcie, oba będą wołać: day hasło!" i szepnął na ucho, „*Paryż*. Nie zapomniycież tego wyrazu!" rzekł potym głośno i z uśmiéchem: „bo z naszemi chłopakami nie żarty, zaraz kula gwiźnie."

Obadway przyjaciele bez trwogi poszli do siebie. Wieczor był naypięknieyszy. Wdzięk położenia okolic, rozweselające wino, łudzące młodości wspomnienia, obudzone żywą rozmową dawnego przyjaciela: wszystko tak mocno działało na Konstantego, że się zupełnie oddał czułym uniesieniom, w jakich Lord szczególniey lubił go widywać. Znał to młodzieniec i starając się czémkolwiek, choć na chwilę, przytłumić w smutnym przyjacielu pamięć jego nie-

szczęść, tém bardziey powodował się natchnieniem ognistey swojey wyobraźni i wlewał roztopioną duszę w obrazy przez nią podane. Wtém nagle odezwało się wcale niespodziewane kto idzie? „Swóy!” idąc odpowiedział prędko Konstanty.

„Stóy! day hasło!” tenże głos zawołał. Konstanty stanął strwożony tém bardziey, że słowo, które już prawie miał w ustach, wmgnieniu zemknęło mu z pamięci. Pierwszy przestrach tak go zmieszał, że ciagle ono kręciło się, jak powiadają, na języku,ale niedawało się wymówić.

„Mów, albo strzelę!” jeszcze raz odezwał się żołnierz. Konstanty w tym momencie zrobił poruszenie. jakby w niebezpieczeństwie, chcąc zasłonić przyjaciela; lecz ten silnie go odepchnął, i pociągnął za sobą spiesznie krzyknąwszy:*Paryż*! Wszystko to było w mgnieniu oka.

Milcząc obadwa poszli daley. Konstanty był jak w otrętwieniu: nie mógł on przyyśdź do przytomności, raz ze strachu od niebezpieczeństwa, przez jego nieuważne roztargnienie sprowadzonego; drugi raz z podziwienia, że jego przyjaciel wymówił słowo umówione. Nie wprzód, aż minąwszy straż powtórną, przed którą nie zapomniał już powiedzieć tajemnego wyrazu, poczuł on, że odzyskał znowu użycie pamięci i języka. „Milordzie!” zawołał wtenczas: „ja nie mogę jeszcze przyyśdź do siebie z podziwienia. Dla czegoż milczysz? pozwól mi znowu swóy głos usłyszeć! Jużem się był ucieszył, myśląc, że się to sprawdziło, co powiadają: iż, kiedy kto z nagłego smutku lub strachu mowę utraci; nowy przestrach może mu przywrócić tę władzę,

Jakżebym dziękował mojey nieostróżności, gdyby ona wistocie taki skutek sprawiła. Przemów do mnie, Milordzie, nie dręcz mię dłużey!"

Anglik milczał, ścisnął tylko rękę przyjaciela, i potrząsł głową. Pierwszy raz poczuł Konstanty jakiś skryty wstręt w przytomności swego towarzysza, i tém mocniey wzmagało się w nim to nieprzyjemne uczucie, im mocniey wpatrywał się w szlachetną twarz jego, która przy posępnym świetle xiężyca bardziey jeszcze wydawała się ponurą i bladą. Prawie mimowolnie wypuścił on z dłoni rękę przyjaciela, i na krok oddalił się od niego.

Lord Egleton westchnął i rzucił na Konstantego smutne, prawie dzikie spóyrzenie: było w niém cóś tak nadzwyczaynego i przerażającego, że zimny dreszcz przebiegł wszystkie członki młodzieńca. Zdawało się już teraz, że głos towarzysza, i jego niemym uczynił.

Cichości panującey wokoło nie mieszała już wesoła gadatliwość Konstantego, tylko stąpanie idących powtarzało echo w pustém przestworzu. Tak przyszli oni do domu. Konstanty był prawie w pomieszaniu: skryte, posępne, marzenia zaburzoney jego wyobraźni, zawróciły mu głowę.

Skoro oba znaleźli się w dobrze oświeconym pokoju, Konstanty rzucił na Lorda wzrok bojaźliwy i zdziwił się, widząc na jego twarzy zwyczayną spokoyność. Nie było jeszcze poźno: ale pomieszany młodzieniec czuł już potrzebę osobności i zrobił poruszenie, jakby chciał odeyść: zdawało się, że on jeszcze, albo zupełnie nie mógł mówić, albo nie wiedział, co mówić na-

leżało. Wtém Lord raz pierwszy jeszcze z miną rozkazującą dał jemu znak usiąść na sofie, a sam tymczasem cóś pisał, i skończywszy oddał Wudowi. Tak przepędzili oni blisko kwadransa, siedząc w milczeniu jeden obok drugiego. Anglik pogrążony był w myślach, a Konstanty poglądał na niego zukosa oczekując co będzie. Nie wiém czy kiedykolwiek dwie zgłoski niewinne, składające nazwisko dobrego miasta Paryża, mogły sprawić taką oziębłość między dwoma przyjaciółmi, albo zerwać tak nagle, równie mocny związek przyjaźni.

Nakoniec wszedł Wud z niewielką czaszą wrzącego ponczu i postawił ją na okrągłym stoliku przed sofą. Lord dał mu znak, aby wyszedł: wstał potém prędko, spuścił na zamek oboje drzwi od weyścia, między któremi znaydował się próg na łokieć szeroki: powrócił do stołu, ponalewał szklanki, i pociągnąwszy porządnie ze swojey, dobył zegarek, położył na stole, patrząc pilnie na skazówkę: usiadł potém i zaczął pięknym niemieckim językiem mówić, co następuje:

„Nie choroba, ale postanowienie uczyniło mię niemym; nadspodziana konieczność złamała je tak nagle, tak nie wczas, że ja mogę, widzę to z boleścią, bez podziwienia jednak, mogę stracić ufność mojego przyjaciela, jeśli mu nie rozwiążę zagadki, czyniącey mię obmierzłym potworem w jego oczach. Potém znowu włożę na siebie moje kaydany i, jakkolwiek to postanowienie dziwaczném zdawać się może, kaydany te, mém zdaniem, nie powinny jeszcze bydź zdjęte. Dla ciebie jednego z ludzi, kochany Konstanty,

tajemnica moja zdradzona zostaje. Przyymuję to za znak, że *powinienem* odkryć się przed tobą: że zaś bezpiecznie mogę to uczynić, dawno już jestem przekonany. Mógłbym wprawdzie wszystko to, co usłyszysz, wyrazić na piśmie: ale potrzeba, żeby każde słowo znikło, skoro tylko wymówione zostanie, i zachowało się tylko w moiey i twoiey duszy. Przytém żywa mowa z duszy do duszy myśl przenosząc, mocniey ciebie przekona, że moje postanowienie, chociaż tobie nawet próżnym wymysłem zdać się może, dla mnie jednak bardzo wielkiey jest wagi. Czas użyty na opowiadanie." dodał, spóyrzawszy jeszcze raz na zegarek: „poźniey nagrodzę, jeśli podoba się Opatrzności kiedykolwiek rozwiązać moje przeznaczenie. Proszę więc; nie przerywaj mi, albo, jak można, nayrzadziey."

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

DO LUCYNY.

Pamiętam, luba, kiedy z twoich rączek
Wonney rośliny odebrałem pączek.
Kwitnął on w tenczas, a w równey kolei
Rozwił się kwiatek i moiey nadziei.
Lecz olbrzym czasu, który wszystko niszczy,
W żelazne prawa ujął dany kwiatek,
Wdziękami więcey młodości nie błyszczy,
A w nim nadziei kona mey ostatek.
W twoiey jest mocy, o przedmiocie luby,
Dwie te istoty zachować od zguby.
Udziel mu wdziękow, a mnie day nadzieję:
I ja odżyję, i kwiat nie zwiędnieje.

Alexander Karłowicz.